



Egzekucja w cieniu baszty senatorskiej

2020-03-11

We wtorek 19 marca 1901 r. wielu krakowian spoglądało z zaciekawieniem w stronę Wawelu, nazywanego wówczas raczej Zamkiem. Wszyscy wiedzieli, że trwają tam przygotowania do egzekucji. Oczywiście warta nie wpuszczała ciekawskich cywilów na dziedziniec arkadowy, ale i tak do krakowian docierały różne wiadomości. Mówiono, że podobno koło wieży Senatorskiej wkopano już słup oraz przystawiono do niego schodki.

Michał Kozioł

Tymczasem w wojskowym areszcie mieszczącym się tuż obok dziedzińca arkadowego Józef Balcer, szeregowiec 56. pułku piechoty przygotowywał się na drogę do wieczności. Po raz drugi w swoim młodym życiu był przedmiotem zainteresowania krakowian. Pierwszy raz jego nazwisko stało się głośnie w niedzielę 23 września 1900 r., kiedy koła stacji kolejowej Wielkie Drogi znaleziono zmasakrowane ciało żandarma Eliasza Kassyanika. Początkowo wydawało się, że denat nieostrożnie przechodził przez tory i został przejechany przez pociąg. Jednak przy zwłokach nie było karabinu, atrybutu każdego austriackiego żandarma, a w piersi zmarłego zauważono aż trzy rany postrzałowe. Sprawa była poważna, więc urzędnik kolejowy Alfred Dudek udał się natychmiast do Krakowa, aby zawiadomić dyrekcję policji o popełnionym morderstwie. Sprawą zajął się inspektor Mohr. Szybko ustalono, że w nocy z soboty na niedzielę w Facimiechu, w miejscowej karczmie, żandarm zatrzymał żołnierza, który nie potrafił wylegitymować się przepustką. Znaleźli się świadkowie, którzy słyszeli strzały. Zawiadomione władze wojskowe ustaliły, że Józef Balcer, szeregowiec 56. pułku piechoty po południu w sobotę 22 września bez przepustki opuścił koszarę imienia Franciszka Józefa przy ul. Rajskiej.

Zbrodnia

Szeregowiec Balcer przyznał się do winy i złożył obszernie zeznania. Odtworzono w ten sposób tragiczne wydarzenia sobotniej nocy. Balcer, będąc na „lewej przepustce”, bawił się w Facimiechu w karczmie. Żandarm zaszedł do szynku i zobaczywszy żołnierza w mundurze, zażądał od niego okazania przepustki. Oczywiście Balcer nie mógł jej pokazać, bo jej nie miał. W tej sytuacji Kassyanik oświadczył, iż aresztuje żołnierza jako dezercera i musi odprowadzić zatrzymanego na posterunek. Wyszli więc obaj z karczmy, a za nimi podążył Paweł Balcer, brat oskarżonego o dezercję. Idąc w stronę posterunku, bracia przekonywali Kassyanika, aby nie był aż takim służbistą i przymknął oko na drobne zresztą przewinienie. Żandarm nie tylko nie uległ prośbom, ale nawet zagroził bronią i kajdankami. Wtedy Józef wyrwał Kassyanikowi karabin i zdarzyło się coś strasznego. Jak pisała później krakowska prasa: „strzelił dwukrotnie do żandarma. Brat Balcera, Paweł, widząc spełniony czyn, zbiegł z miejsca zbrodni. Żandarm, upadłszy na ziemię, wołał jeszcze o pomoc. Józef Balcer przystąpił do niego i przyłożywszy lufę do piersi, dał trzeci strzał, poczem wszelkie wołanie ustało”. Morderca obszukał ofiarę i zabrał zabitemu zegarek. Następnie zaciągnął zwłoki na pobliski tor kolejowy „i tu położył je na szynach, tak, że przechodzące dwa pociągi strzaskały klatkę piersiową zamordowanego”.



Dla sądu wojskowego sprawa była zupełnie oczywista. Oskarżony popełnił aż cztery przestępstwa, czyli: morderstwo, kradzież, nieposłuszeństwo władzy wojskowej oraz wydalenie się z koszar bez pozwolenia. Jednak wojskowy sąd czekał, aż zapadnie wyrok w toczonej przed sądem cywilnym rozprawie Pawła Balcera, oskarżonego o współudział w zbrodni. Kiedy sędziowie przysięgli orzekli, że jest on niewinny, nic już nie stało na przeszkodzie, aby zakończyć sprawę Józefa. W poniedziałek 18 marca 1901 r., a więc sześć miesięcy po popełnieniu zbrodni, ogłoszono wyrok.

Decyzja sądu wojskowego mogła być tylko jedna, czyli kara śmierci przez powieszenie. Wyrok miał być wykonany bardzo szybko, bo już we środę 20 marca o wpół do ósmej.

Człowiek oczekujący na śmierć budzi zrozumiałą litość, tym bardziej że na wykonanie wyroku miał czekać czterdzieści osiem godzin. Starszy profos sztabowy Berdl napisał w imieniu skazańca oraz wysłał adresowaną do samego cesarza prośbę o ułaskawienie. O pociechę duchową zadbał ksiądz kapelan Krassowski. Przez czterdzieści osiem godzin Balcer przy pomocy spowiednika pojednał się z Bogiem oraz uporządkował sprawy rodzinne. We wtorek o godzinie szóstej wieczorem odwiedzili go krewni.

Ułaskawienie nie nadeszło. Wiedeń milczał, co było zupełnie zrozumiałe. W tym przypadku trudno było doszukać się jakichś okoliczności łagodzących. O godzinie wpół do piątej rano profos Karasek zbudził skazańca. Balcer wstał i poszedł do kaplicy więziennej, gdzie wysłuchał mszy odprawionej przez ks. kapelana Krassowskiego i przyjął komunię. Tymczasem na dziedzińcu arkadowym rozpoczęto ostatnie przygotowania do egzekucji. Jak pisały gazety: „na placu stracenia stanęło pół batalionu 56. pułku piechoty pod komendą podpułkownika p. Przyborskiego i utworzyło czworobok przed szubienicą. Poza czworobokiem stanęło dużo oficerów wszelkiej broni, garstka cywilnej publiczności oraz rodzina skazanego. Na dziedzińcu najpierw zjawił się kat sprowadzony z Wiednia, później sędziowie, a na koniec wyprowadzono skazańca. Towarzyszyli mu, oprócz wartowników, ks. kapelan Krassowski oraz starszy profos sztabowy Bredl. Audytor Niżałowski odczytał jeszcze raz wyrok, a następnie oddał skazańca w ręce kata. Egzekucja przebiegła bardzo szybko”.

Ułaskawienie?

Jeszcze tego samego dnia gruchnęła w mieście pogłoska, że już po dokonaniu egzekucji doszła do Krakowa cesarska decyzja o ułaskawieniu skazańca. Jak pisał niezawodny „Czas”, wiadomość ta była szczególnie popularna w „kołach mniej inteligentnej publiczności”. Niewątpliwie do jej spopularyzowania przyczynił się w znacznym stopniu socjalistyczny dziennik „Naprzód”.

Jak wiadomo, często nawet zupełnie absurdalna plotka ma jakieś konkretne źródło. Podobnie było i w przypadku rzekomego cesarskiego ułaskawienia. Jak pisał „Naprzód”, z powodu złej organizacji pracy w krakowskiej poczcie „dopiero o godz. 7 minut po 10 rano odebrano z Wiednia telegram tej treści »Ułaskawienie nadejdzie, egzekucję wstrzymać«”. Po nadejściu wiadomości „kontroler telegraficzny” dłuższy czas usiłował dodzwonić się do Zamku, jednak nikt nie odbierał telefonu. Kiedy wreszcie udało się uzyskać połączenie, było już po egzekucji. Kontroler telegraficzny, dowiedziawszy się o tym, zemdłał.

Owe sensacyjne informacje „Naprzodu” dementował „Czas”. Ten konserwatywny dziennik twierdził,



**Magiczny
Kraków**

że depesza tej treści w języku niemieckim, rzeczywiście dotarła do Krakowa. Jednak wysłana była nie z Wiednia lecz z Opawy, a jej forma i użyte sformułowania budziły uzasadnione obawy co do autentyczności. Podejrzenia te były zasadne. Okazało się bowiem, że autorem depeszy „był człowiek umysłowo chory, którego też, po przeprowadzonym z powodu tego zajścia śledztwie, oddano do zakładu obłąkanych”.